

# ROZMAITOŚCI.

Dnia 14. Stycznia.

№ 2.

Roku 1857.

## IZABELLA ZAPOLSKA.

Opowiadanie historyczne  
przez  
Walerego Lozińskiego.  
(Ciąg dalszy.)

### II.

#### FESTYN W PRZEDDZIEN ŚMIERCI.

Już od roku dzieliła młoda Jagiellonka losy podeszłego w lecjach króla Janusza. Losy te stawały się z każdym dniem niepewniejsze i posępniejsze. Dotąd miał król Zapolia do walczenia jedynie z nieprzyjacielem postronnym, dziś innego rodzaju wróg odrywał go od boku młodej małżonki, i zmuszał do wyczerpywania resztek sił nadwątłych w trudnej walce domowej. Zdrada wkradała się między własne zastępy, wychylała jadowitą głowę z własnego łona.

Dwóch możnych panów węgierskich, Stefan Mailath i Emeryk Balassa, podniosło w Siedmiogrodzie sztandar rokосу. Król Janusz stanął na czele zebranego na przedce wojska, i nadzwyczajnie szybkim marszem pospieszył na miejsce buntu. Zaskoczony niespodzianie Emeryk Balassa mógł tylko słaby opór stawić królowi, a wyrzuty prędko ze wszystkich swych zamków i grodów, musiał szukać schronienia u dawnego przyjaciela i drugiego przewodzący powstania Stefana Mailatha.

Stefan Mailath, człowiek silnej woli, wielkiego mężstwa i niepospolitej znajomości sztuki wojennej, podniosłszy sztandar rokосу, zawarł się w silnie owarowanym grodzie Fogaras, i pewny wytrwałości licznej a duszą i ciałem oddanej sobie załogi, oczekiwał spokojnie przybycia wojsk królewskich. Nadszły one niebawem pod wodzą Walentego Töreka, jednego z najznamienszych przyjaciół i poufników króla Janusza. Wszakże nie tak łatwo było ukorzyć buntowniczy zamek. Oblężenie przeciągało się w czas nieskończony, jużto dla nagłej słabości i samego wodza królewskiego, jużto dla wytrwałości i mężstwa oblężonych. Do tego spodziewał się

Törek zniewolić Mailatha w dobry sposób do złożenia broni i przejednanja króla, przeco ustawicznemi układy dyplomatycznemi przewlekał ostateczny wypadek walki.

Zniecierpliwiony król pospieszył sam na widownię boju. Zaledwie jednakże stanął w obozie, zapadł w nagłą chorobę. Było to pierwsze lekkie uderzenie apoplexyi, wymagające długiego i starannego leczenia. Za radą lekarzy rozstał się król z wojskiem, i tając swoją nagłą chorobę, usunął się w zacisze miasteczka Szász-Sebes, dzisiejszego Mühlbach, którego romantyczne położenie wiele mu się podobało.

W podróży, odbytej wśród nieznosnych upałów lipcowych, pogorszył się stan choroby. Do coraz gwałtowniejszej febry przyłączyły się inne boleści, mianowicie ból i zawrót głowy, a gorączka wzmagala się często aż do napadów zupełnej nieprzytomności, w której król prawil od rzeczy, i nie poznawał nikogo.

Wśród tej corazto niebezpieczniejszej choroby przybył do Szász-Sebes goniec z Budzynia. Zaledwie stanął na zamku królewskim, zagrzmiął działa, uderzono w trąby i kotły, i niezwyčajna radość wstąpiła w mury królewskiego mieszkania. Sam król, wycieńczony chorobą, wzniosł się na łożu, i zdawał się nagle uzdrowionym. Oko jaśniało dawnym blaskiem, a zwiędłe cierpieniem lica oblokł żywy rumieniec.

Goniec przywiozł wiadomość, że królowa Izabella powiła syna w Budzyniu, dnia 7 lipca roku 1540. Król Janusz, ostatni potomek świetnego domu Zapoliów, otrzymał wreszcie następcę i dziedzica imienia gasnącego. Radośna ta nowina poruszyła w nim wszystkie siły, wielce nadwątłone chorobą. Odzyskując zdrowie, odzyskał i przytomność umysłu i energię dawniejszą. Wysłał natychmiast gońca do Budzynia z poleceniem, aby nowonarodzony królewic nazywał się Janem Zygmuntem, na pamiątkę ojca i dziada polskiego, a nazajutrz kazał wyprawić wspaniałą ucztę na zamku.

Wnieiony na rękach do sali bankietowej, uczestniczył biesiedzie od początku do koń-

ca, zdrów i wesoł, jakgdyby nigdy nie chorował. Przy schyłku dnia rozkazał stanąć przed sobą dwom panom poważniouym, którzy wyzwali się byli na pojedynek. Chciał sam wysłuchać ich żałoby, aby pojednać nieprzyjaciół, lub zezwolić na walkę.

Stanęli tedy obaj przeciwnicy przed obliczem monarchy, a wyzywający zabrał głos do tronu. Król słuchał go łaskawie, gdy wtem rzucił się gwałtownie w krzesło, posiniał na twarzy, i w ślup obrócił oczy.

— „Obraża mię!... To słuszną!“ — wybełkotał nieprzytomny, i padł zemdlony.

Przyskoczyli panowie i dworzanie, pochwycili go na ręce, i różnemi sposobami cucąc i ożywiając chorego, ułożyli go w łóżko. W godzinę gwaru i wesoły niedarńo zamek, umilkł i zposepniał zupełnie, aby nazajutrz okryć się kirem żałoby.

Król Janusz Zapolia rozstał się z światem; królowa Izabella owdowiała, licząc lat niepełna dwadzieścia jeden.

Popłoch ogarnął wszystkich panów i szlachte. Widzieli wszyscy, iż z śmiercią królewską zawisła nad Węgrami nowa chmura niebezpieczeństwa, grożąca burzą i gromobiciem. Panowie rady przystąpili do odpięczętowania testamentu królewskiego. Ostatnią wolą swoją porzucił król Janusz opiekę nad swoim synem Jerzemu Martinuzzi, biskupowi waradyńskiemu, i Piotrowi Petrowiczowi, skolligaconemu z domem zapolskim. Ci tedy obadwaj dygnitarze objęli natychmiast ster rządów, a tając śmierć królewską, wdali się przedwzyskiem w układy z wichrzycielem Mailathem. Zręcznym usiłowaniami obudwóch powiodło się rzeczywiście przywieść zamek Fogaras niebawem do kapitulacyi, i uspokoić wszystką ziemię siedmiogrodzką. Wtedy dopiero ogłoszono zgon króla Janusza, a zarazem obwołało królowicą Jana Zygmunta „wybranym królem Węgierskim“.

Byłoto jawnem hasłem wojny z królem Ferdynandem, aż nazbyt pewną wróżbą przyszłej opieki tureckiej.

Zaledwie dowiedziawszy się o nagłym zgonie króla Janusza, wysłał król Ferdynand natychmiast hrabię Mikołaja Salm do Budzyna, aby przypomnieć Izabelli warunki zawartego przed dwu laty traktatu. Z wielką trudnością otrzymał poseł rakuzki posłuchanie u królowej Izabelli czyli Elżbiety. Panowie rady wzbraniłi się wpuścić go na zamek, jakoby nie chcąc przerywać żałobnej samotności wdowy królewskiej. Dopiero na jej wyraźną prośbę wpuszczono go na podwoje zamkowe.

W moc zawartego z królem Januszem traktatu domagał się król Ferdynand bezzwłoczniego ustąpienia Węgier i Siedmiogrodu, ofiarując w zamian królowej Izabelli miasta Preszburg i Tyrnawę na siedzibę, i obowiązując się płacić jej tak długo po 25.000 zlr. rocznie, aż dopóki za całą summę oprawną nie będą jej dobra węgierskie wykupione z zastawu.

Uznając słusność pretensyj Ferdynandowych, skłaniała się Izabella do przyjęcia warunków. Wiedziała ze własnymi siły nie zdoła oprzeć się potędze rakuzkiej, a jej pobożność chrześcijańska wzdragała się na samą myśl przyszłej pomocy i opieki bisurmańskiej. Wszakże parta przeważną wolą rady, a mianowicie dwóch możnowładczych opiekunów synowskich, musiała koniecznie dać odmowną odpowiedź posłowi Ferdynandowemu, i wystąpiła otwarcie w obronie praw swego syna Jana Zygmunta, którego panowie węgiersey jednocześnie z ogłoszeniem śmierci króla Janusza okrzyknęli „wybranym“ królem Węgier.

Hrabia Salm opuścił Budzyn, wypowiadając wojnę królowej, zmuszonej ulegać we wszystkim woli swoich rad i opiekunów synowskich.

Król Ferdynand tymczasem nkończył nad spodziewanie prędko przygotowania wojenne, i jeszcze tegosamego roku wysłał pod wodzą tyrolskiego barona Fels znaczną armię do Węgier. Równocześnie wyprawił także posła, znakomitego barona Zygmunta z Herbersztyna, do Polskiego ojca królowej Izabelli z prośbą, aby król Zygmunt swoim wpływem wymógł na córce dotrzymanie traktatu, i oszczędził tym sposobem rozlew krwi chrześcijaństwu, a zapobiegł zbrojnemu w mieszaniu się Turków.

Nie wiedząc nic o tym kroku przeciwnika, wpadli na podobną myśl także panowie rady węgiersey. Pod przewodnictwem samego Jerzego Martinuzzi wyjechało w tymczasowym czasie świetne poselstwo do Krakowa, prosząc króla Zygmunta o pośrednictwo między nimi a królem Ferdynandem.

Tak więc ujrzał się polski Zygmunt Stary rozjemcą obudwu stron poważnionych, co wcale niełatwem było zadaniem, boć jak pisze spółczesna kronika polska: „król Zygmunt na obie strony patrzył, na Ferdynanda i na córkę swą: jednak jednego żądał, to jest pokoju.“

Tymczasem położenie królowej Izabelli pogorszało się z dniem każdym. Kilku możnych panów węgierskich, a mianowicie Piotr Pere-

ny, Zygmunt i Melchior Balassa, Franciszek Bebek, Stefan Raskai, Franciszek Frangepan, przeszło na stronę Ferdynanda. Nadto ledwie co ukorzony wichrzyciel Mailath podniósł na nowo sztandar rokoszu, rozszerzając zarazem niebezpieczną pogłoskę, jakoby król Janusz Zapolia umarł bezpotomnie.

Wśród tego coraz groźniejszego zamętu domowego nadeszła do Budzynia wiadomość o zajęciu Biało- i Wyszogrodu przez wojska Ferdynanda. Cała nadzieja zagrożonej królowej spoczęła teraz jedynie w spodziewanem pośrednictwie króla Zygmunta Starego.

### III.

#### KRÓLEWSKA NIEDOLA.

Huk dział rozlegał się dokoła murów Budzynia. Wojska króla Ferdynanda rozparły się pod samą stolicą, a chrzęst ich zbroi dołatywał uszu samej królowej, budził ze snu samego dziecięcego króla.

Na zamek królewski zawitał gość ważny a niespodziewany. Sułtan Soliman, dla przekonania się o rozsiewanej przez Mailatha pogłosce, wysłał do Budzynia czausza swojego. Miał on naoczne powziąć świadectwo, ażali król Janusz pozostawił rzeczywiście męzkiego potomka. Czausz sultański, otrzymawszy wstęp na zamek, domagał się bezzwłocznie ujrzeć dziecię królewskie. Królowa Izabella kazała go wprowadzić do swojej komnaty, a ufna w potęgę swoich wdzięków, obnażyła pierś, i podając pokarm dziecięciu, czekała spokojnie posta.

Wszedł on do komnaty z wzniesionem czołem, i hardym wzrokiem potoczył po królowej. Ujrzawszy ją atoli jaśniejącą blaskiem piękności i powagi królewskiej cofnął się dumny powiernik Solimana, i zachwycony wlepił oczy w postać nadobną. A gdy królowa korzystając z pierwszego wrazenia swojej osoby, wzruszonym głosem zawezwała pomocy sultańskiej dla swego syna, nie mógł dłużej olśniony bisurmanin poskromić się w uniesieniu. Padł na kolana przed królową, ucałował nogi dziecięcego króla, i przykładając mu rękę do piersi, zawołał uroczystym głosem:

— „Przysięgam na Ałłę i jego proroka w mojem i mojego pana imieniu, że nikt inny tylko to oto dziecię, ten syn króla Janusza, odziedziczy berło i koronę węgierską.“

I pełen uwielbienia, pełen najgorętszych chęci dla królowej Izabelli i jej syna, odjechał napowrót do Stambułu.

Zaraz po jego wyjeździe przybyli do Budzynia nowi goście znakomici. Byli to polscy posłowie, Andrzej Czarnkowski, scholastyk krakowski, i Andrzej Górka, kasztelan poznański i starosta wielkopolski. Pierwszy z nich powracał z Wiednia od króla Ferdynanda, drugi przybył prosto z Krakowa. Mądry i umiarkowany król Zygmunt Stary chciał koniecznie w polubowny sposób załatwić spór między Ferdynandem a Izabellą. Postanowił naprzód wysłać posła do króla Ferdynanda, lecz dziwna jakaś fatalność ciążyła na jego wyborze. Wybrany najpierwej do odprawienia poselstwa Piotr Kmita, wojewoda krakowski, wymówił się od zaszczytu; później zaś mianowani kolejnie Jan Wielamowski, biskup kamieniecki, i Jan Zbąski, dziekan krakowski, roznieogli się nagle, a pierwszy nawet nie dźwignął się już z łóża.

Nakoniec padł wybór królewski na Andrzeja Czarnkowskiego, scholastyka krakowskiego, który świeżo powrócił z Włoch do Wilna. Jemuto polecił Zygmunt udać się naprzód do króla Ferdynanda, aby potem przyłączyć się do Andrzeja Górki na dworze królowej Izabelli, i z uim razem pojednać strony zwąśnione. „Ferdynandowi oznajmił król Zygmunt“ — pisze kronika polska — „iż aczkolwiek wnuka miłuje jako krew swoją, wszakże mu do królestwa węgierskiego pomagać nie chce, i nie będzie, więcej miłując pokój i dobro chrześcijańskie, a Izabelli jednak z jej synem sieroctwo Ferdynandowi zalecając... Izabelli zasię radził król Zygmunt, aby się według paktów nieboszczyka męża swego zachowała, a na Budzynie nie zawierafa, ale aby puściwszy królowi Ferdynandowi Budzyń, sama do Tręczyna zamku i do oprawy swej z synem jechała, wszakże aby syna od siebie odłączyć nie dopuszczała. Toż i radom węgierskim król Zygmunt dawał znać.“ (D. c. n.)

Początek aktu III. komedyi

Józefa Korzeniowskiego

pod tytułem:

„**MŁODY MĄŻ.**“

(Nadesłano uprzejmie od autora.)

**Marcin** sługa **Karola** oczekuje na pana swego, bawiącego na maskaradzie.

**Marcin** (przeciera oczy i posiewa.)

Blisko druga... a pana jak nie ma, tak nie ma. Sen morzy, i człek ledwie na nogach się trzyma.

Pan się bawi, a dla mnie czas diabelnie długi.  
Czyto tylko w tem jednym różny pan od sługi!

(*Siada i wyciąga się.*)

Jak to sobie rozważy tutaj czekający,  
To mi jakos do głowy przychodzi niechęć,  
Ze choć pana i sługę Bóg jednako stworzył,  
Wielkie jednak różnice między nich położył.  
Pan się rodzi w pałacu, sługa rodzi w chacie;  
Sługa spi na sienniku, a pan na pieńcacie.  
Gdy panu czego trzeba, chociaż zdrow i młody,  
Sam nie pójdzie, lecz woła: daj ognia lub wody.  
Pan sobie jeździ koczem, a czy deszcz czy błoto,  
Czy trzeba czy nie trzeba, sługa tnie piechotę,  
A kiedy z panem jedzie na bal lub z wizytą,  
To pan siedzi w karycie, sługa za karytą;  
I gdy pan w cieplej sali koperczaki stroi,  
Sługa z płaszczem na rękę w zimnej sieni stoi.  
Oj! nie tegi dalibóg, ten nasz stan takowy;  
I znajdziesz, byleś poszedł po rozum do głowy.  
Czem jeszcze więcej sługa różni się od pana.  
I na ten przykład: sługa podobny do dzbana,  
Co sobie odpoczynku nie może wyprosić,  
I choć ucho urwane, musi wodę nosić.  
Czyś chory, czyli zdrowy, czy masz swe kłopoty.  
Pan się o to nie pyta, ruszaj do roboty.  
Bo pana tak już jakos pan Bóg usposobił,  
Ze sobie odpoczywa, chociaż nic nie robił.  
Pan gdy wróci z zabawy, to spi do dziesiątej,  
Sługa później się kładzie, a wstaje o piątą.  
Pan skoro się obudzi, siada do śniadania.  
Gdy przyjdzie obiad, różne zastawiają dania.  
Są ryby i zwierzyny, są cukry i ciasta.  
Dla sługi barszcz, kawalek mięsa, chleb i basta.  
Gdy się pan gdzie na uczcie udźga należycie,  
Kładną go do powozu, i drzemie w karycie.  
A kiedy sługa gołnic, że mu ciemno w oku,  
To bije o mur głową, lub leży w rynsztoku.  
Niech pan lubi szampana, nikt mu nie przygani.  
Wszyscy mówią: wesoly, dobry do kompanii.  
Niechże sługa za kołnierza nie wylewa wódki,  
To paskudne dla niego wynikają skutki:  
Zapiszą to w książeczkę, nie uniknie bury,  
A czasem się w ratuszu dobiorą do skóry.  
Tak to z nami na świecie!

(*Wstaje, idzie do okna, i słucha — po chwili powraca.*)

Cicho jakby w grobie.  
Nikt nie idzie. Coż robić — znowu siadę sobie  
Podumać o swej biedzie i o pańskiej doli.

(*Siada.*)

Hm! mają i panowie także, co ich boli.  
I na ten przykład mówiąc: w ich małżeńskim stanie  
Co to tam za uciecha, co tam za kochanie!  
Sługa kiedy się żeni, to się wprzód nagał  
Z dziewczyną, i ze wszystkich stron ją wypowiadał.  
A pana swata rejent. Jeśli wiosek wiele,  
To poznali się w piątek, i już ślub w niedzielę.  
I coż ztąd potem? kłótnie, dąsy i przekory.  
Pani bawi się z gachem, wtedy gdy maż chory,  
A gdy się pani krzywi i na los swój żali,  
Pan do jakiej tancerki koperczaki pali.  
A potem się rozwodzą, chociaż płaczą dzieci.  
Oj! nie wszystko to złoto, choć tak ładnie świeci.  
Jeszcze się żaden sługa nie rozwiódł dla zdrady.  
A jeśli czasem takie bywają przykłady,  
Ze żona na łbie sługi rogi pozaplata,  
To ją weźmie za rękę, grzbiet dobrze wylała,

I znowu sza! i zgoda; dom idzie jak z płatką  
Wraca żona do męża, a do dzieci matka. —

Dobrze to mieć pieniądze a siedzieć we dworze,  
Kiedy człek własną ręką ni sieje, ni orze,  
Ztądto panów, jak mówią, tak szczęśliwa dola.  
Ale ba! mają oni także swego móła.  
Kiedy wszystko tak łatwo przychodzi do gąbki.  
Ze aż z nieba pieczone spadają gołąbki.  
Gdy się czło nie spoci, to już nic nie lechce.  
Wszystko jest, tu jak na złość niczego się nie chce.  
Ztąd też pan zakwaszony siedzi za swym stołem,  
Krzywi się na indyka, ziewa nad kwiczołem;  
A w nocy, choć miękkiego nie brak materaca,  
Nie spi jednak, i z boku na bok się przewraca.  
Sługa gdy się od rana dobrze napracuje,  
Z wileczym brzuchem zasiada, i berszcz repetuje;  
A gdy kawał siennika w przedpokoju złapie,  
To aż się okna trzęsą, z takim smakiem chrapie.

A niechno panu raptem powinie się noga,  
I do drzwi jego bieda zakolace sroga,  
Co to tam desperacyi, ile skarg do nieba!  
Zarobić nic nie umie, a jeść i pić trzeba,  
A tu wstyd przed innymi panny, że ubogi.  
Z bolem serca wycierać musi cudze progi.  
Dla sługi wszystko jedno — i byle ochota,  
Wszędzie znajdzie się miejsce, strawa i robota.  
Nie wstydzi się że biedny, kto się biednym rodzi,  
I nie spada z wysoka, kto przy ziemi chodzi.  
Wiedział Pan Bóg co robił, gdy tak z jego woli  
W każdym stanie jest trocha dobrej i złej doli.  
A jeśli sługa pilny, i ma olej w głowie,  
To choć się czasem skrzywi, częściej sobie powie:  
Nie zazdrość kpie nikomu, nie gardź swoim stanem,  
Bo bodaj czy nie lepiej sługą być, jak panem.

## PÓLROCZE LITERACKIE.

(*Ciąg dalszy.*)

A tażsama wprawność i polerowność pióra,  
któremi odznacza się prawie każden z wierszów dzisiejszych, cechują także prozę nadobną, uderzającą w powieściach nowszych.

Wyszło ich w bieżącym półroczu przeszło 30 tomów, zpod pióra wszystkich prawie pisarzów dawniejszej daty i kilku wcale nowych.

Autorowie dawniejsi, lub powszechnie już znani i ocenieni, dostarczyli następującego szeregu prac:

*Pan Starosta Kaniowski.* Obraz powieściowo historyczny w trzech oddziałach, przez Edwarda Tarsze (Michała Grabowskiego). Warszawa 1856. Jestto dopiero początek obszerniejszej powieści, należącej (o ile z fragmentu wnioskować można) do celniejszych utworów autora *Koliszczyzny i Stepów*. Godzi się mianowicie oddać sprawiedliwość staraniu

o znacznie większą prawdę obrazu, niż bywa zwyczajnie w powieściach z epoki *Starosty Kaniowskiego*. Nawet pod mistrzowskim piórem autora *Wspomnień Soplicy* rażą one niekiedy przesadą światła i rysów pochlebających, a następcy Rzewuskiego posunęli tę przesadę w wielu wypadkach do fałszu zupełnego. Niniejszy fragment Tarszy miarkuje się widocznie w podobnym apoteozowaniu przedmiotu ewego, i daje przeto obraz o wiele prawdziwszy, a nawet artystyczniejszy.

*Krewni*, powieść w czterech częściach przez Józefa Korzeniowskiego, znana dotąd jedynie z odcinku *Gazety Warszawskiej*. Według oświadczenia autora u wstępu, ma to być jego powieść ostatnia. Patrząc takim pożegnawczem okiem na *Krewnych*, czujemy dwójnasób ich wdzięki i zalety, właściwe zresztą wszystkim powieściom Korzeniowskiego. Jak może żadne inne utwory tegoż czasu, umiały one malować świat i charaktery dzisiejsze, umiały w ogólności malować ludzi. Podczas gdy inni pisarze dawali nam zwyczajnie albo nazbyt promieniste wizerunki czasów dawniejszych albo nazbyt gorzkie satyry społeczności dzisiejszej, a temsamem kreśliли najczęściej jakieś postacie sztuczne, na złą albo dobrą stronę przekunsztowane — jeden prawie Korzeniowski szedł swoją własną drogą pośrednią, i chroniąc się zarówno przed przesadną predylekcyą dla swojego przedmiotu, jakoteż antypatyi do niego, traktował go z przywiązaniem artysty, lecz oraz z bezstronnością i prawdą filozofa. Wynikają ztąd obrazy charakterów szczerze ludzkich, mających swoją ziemską miarkę przymiotów złych i dobrych, tak miłych swoim wdziękiem moralnym a nie odrazających słabościami swojemi — jednym słowem, obrazy natury ludzkiej, podczas gdy w powieściach innych spotykaliśmy najczęściej tylko pochlebne malowidła stanu jednego, albo satyryczne uosobienia niektórych ułomności towarzyskich. I jestto tak oryginalnie właściwem Korzeniowskiemu, że wszystkie jego powieści mają pod tym względem pewne podobieństwo do siebie. Taką też umiejętnością nie przedstawiania na zewnętrznych przyborach życia, lecz szukania wszędzie wewnętrznej istoty ludzkiej — taką znajomość serca ludzkiego i stosunków społecznych — taką wręście poezycę poglądu i wyrazu — podziela i ta najmłodsza z powieści Korzeniowskiego, a wiadomość że to powieść ostatnia, przejmuje nas żalem na prawdę. Kiedy genialny autor *Soplicy* znalazł bez trudności następców, kiedy nie braknie ich nigdy pisa-

rzom satyr złośliwych — powitamyż rychło powieściarza - poetę jak Korzeniowski?

*Dwa Światy*. Powieść we dwóch tomach przez J. I. Kraszewskiego. Wilno 1856. *Jermota*. Obrazki wiejskie, przez J. I. Kraszewskiego. Warszawa 1857. *Choroby wieku*. Studium patologiczne, przez J. I. Kraszewskiego, znane dotąd jedynie z warszawskiej *Kroniki wiadomości krajowych i zagranicznych*. — „Oto satyryczny cenzor społeczności dzisiejszej!“ — mogliśmy powiedzieć o Kraszewskim, gdyby wymienione tu pisma były jedynymi jego pracami. Ale Kraszewski to poniekąd — „wszystko we wszystkim“ — poeta, filozof, historyk, estetyk, powieściopisarz. Dzisiejsze jego utwory są tylko przypadkowym objawem jego wszechstronnego talentu, ale objawem wysoce polemicznym, rozbioreczym, nauczającym. Jako powieści t. j. jako utwory poezyi, nie zyskują one na tem bynajmniej. Nie wyperswadować wprawdzie wielu krytykom i powieściarzom dzisiejszym, iż powieści nie na to pisane być powinny, aby zastępowały ludziom naukę, aby ich instruowały popularnie w historii, polityce, filozofii społecznej i t. p. Zdarzają się zapewne ważne powody do pojawiania się takich powieści nauczających — zawiera się w nich nieraz bardzo wiele talentu, nawet geniuszu — i miewają one ztąd niemałą wartość chwilową — ale przez to jeszcze nie szukaj w nich wartości powieściowej, inaczey poetycznej. Gdyby powieści takie były poezyą, dosęby im było malować świat i życie jak one są — ale malować ręką artysty, umiejącego widzieć we wszystkim pewną stronę nadobną, bez uprzedzania się pewną z góry zakreśloną intencyą, bez pretensyi do czego innego jak tylko do pięknego obrazu. Pisać powieść dla osiągnięcia pewnych celów instrukcyjnych — jestto mniemać, iż rzeźbiarz albo malarz na swoim utworze uczyć nas anatomii. Juźci ani jeden ani drugi nie obejdzie się bez znajomości składu ciała ludzkiego, ale każmyż jednemu i drugiemu być chirurgiem, przyłożyć rękę do operacyi! Wyszędłby na tem ich pacjent równie szczęśliwie, jak wychodzi np. filozofia społeczna, gdy się do niej weźmie powieściarz. Ileż autorów dzisiejszych może talentem swoim równać się Kraszewskiemu, a jak ubogą w obec poezyi i nauki wygląda z tego względu jego ostatnia powieść *Dwa światy*!... Zaczny poeta polski ma przed sobą piękny krajobraz wiejski, na którym z jednej strony widać pałac mniemałego magnata, po drugiej zaścianek

ubogiej szlachty. Natura artysty-opowiadacza wzywa go do opowiedzenia scen i stosunków, zachodzących między temi dwoma przybytkami ludzkimi. Gdybyż poeta chciał być tylko poetą, tedy dałby nam z tych żywiołów obraz wdzięczny, zabawny, nie pozbawiony tragicznej nieraz gry losów, nawet nie bez ostrej czasem nauki, z jaką np. w najdobroduszniej-szych powieściach swoich umie odczuwać się Korzeniowski. Ale oto potrzeba poecie ująć swój przedmiot z stanowiska wyższego, przedstawić w powieści swojej widowisko ogólnych przeciwieństw i zawikłań społecznych—jednym słowem, zrobić z niej więcej niż powieść i niż poezję. Mniejsza więc o to, że dwór i dworek są koniec-koncem zanadto bliskimi i podobnymi sobie tworam, aby mogły służyć za przykład wielkich zawikłań i perypecyj społecznych — że do traktowania kwestyi społecznych z tak wysokiego punktu widzenia należałoby mieć przed sobą nieskończenie szerszą widownię, nieskończenie większą liczbę i różnaitość stanów, położeń i kollyzji społecznych — że przy takim prawdziwie umiejętnem rozprzestrzenieniu sceny pozorną odległość między dworem a dworkiem zmaleje do tego stopnia, iż oba okażą się przeznaczonemi raczej do zgody i przyjaźni sąsiedzkiej niż do reprezentacji jakichciś wielkich przeciwieństw towarzyskich, jakichciś „światów“ różnych. W braku takiej przestronniejszej widowni, w braku pobudki do skreślenia prawdziwie badawczego dzieła w swoim przedmiocie, a przy gorącej chęci zafarbowania powieści bogdaj kilką popularnemi kroplami filozofii społecznej, dość wyobrazić sobie, że leżący przed poetą krajobraz to cały świat społeczny, że ów dwór i dworek to dwa przeciwległe bieguny społeczeństwa, iż zachodzący między niemi stosunek to ciągła walka, której jeden ustęp ma być właśnie opisanym w powieści, dla zbudowania obudwóch przeciwników i nauczania ich zgody. Z takiego zaś uprzedzonego, pretensjonalnego poglądu na przedmiot, jakiejże wartości zrodzi się powieść? co za chwała urośnie z niej dla autora i co za pożytek dla publiczności? Mniemamy tedy, iż tamten wołałby jej nie napisać, a ta wołałaby jej nie czytać. Autor bowiem dał sobie w niej świadectwo, że przy wszelkiej pretensyi do wysokości filozoficzno społecznej stoi właśnie na bardzo poziomie stanowisku, zakreśla niezmiernie ciasne kółko swoją imaginacją, jeśli ów parafiański świeatek dworu i dworka może mu się wydać nie tylko całym światem ale

owszem dwoma światami, a komary drobnostkowych pomiędzy nimi zazdrostek i rozterków jakimiś smokami nienawiści i walki. Publiczność zaś otrzymała lekarstwo na chorobę, której wcale nie czuje, chyba tylko przez imaginację, w skutek rozczytania się w podobnych książkach lekarskich jak nasze powieści filozoficzno-społeczne i satyryczne. Publiczność wie zdziwiendawna, że u nas ludzie żyjący w dworach i dworkach nie są bynajmniej przegrodzeni od siebie takimi ostrokołami, aby się nie mogli zbliżyć ku sobie inaczej jak tylko walką. Toć nie tajno z starodawnej praktyki, iż niech tylko poczciwy mieszkaniec dworka weźmie przypadkiem sukcesyjkę, niech jakakolwiek zasługą pracy albo zdolności dorobi się fortunki, a nic mu nie wzbroni zamieszkać wraz z innemi we dworze: — gdzie zaś wszelkiem przeciwieństwem pomiędzy dwoma przeciwnimi na pozór biegunami jest tylko brak sukcesyji lub jakiejkolwiek zasługi, tam zaprawdę nie masz zbyt srogich szranków i ciągłej walki. Ani też może być założeniem poezyi, chcieć ludzi pocieszać w żalu, iż nie wszyscy zrodzili się w pałacach, że złote niespodziewanki nie przerywają im miernej jednostajności życia, i że niedołęstwo a zasługa nie mają równego uprawnienia w obec „samolubności“ społecznej. A nie na toż zejdzicie ostatecznie intencya powieści jak *Dwa światy*? lubo zejdzicie na to niechający i nieświadomie. Wiemy dobrze, iż autor nie miał celu takiego, ale to niezdarne zaprawianie powieści filozofią, poezyi teoryami, musi w końcu dać fałszywą teorię, i obrócić w niwec poezję. Zamiast poetycznego uwidocznienia rzeczy, którą wszyscy postrzegamy w praktyce, iż owe pozorne różnice i antypatye naszych *Dwóch światów* są w gruncie drobnostkami, iż jeden drugiemu nie ma tak dalece zazdrościć czego, że tedy obadwa mogą spokojnie przestać na sobie samych — sprawia powieść skutek wcale sprzeczny z zadaniem. Zamierzwszy sobie uspokoić walkę mniemaną, zaszczepia właśnie jej zaród; pragnąc wypogodzenia umysłów, zasępieja je smutkami urojonymi; chcąc światła, daje cienie jakichś chmur obcych. Być może, iż powieści takie dopisują innym wymaganiom, lecz wymaganiom poetycznym nie czynią one bynajmniej zadości. Nie potrzebujemy zapewnić, iż cenimy sobie wysoce talent i zasługi Kraszewskiego, lecz ostatecznie jego utwory mniemamy chybione w założeniu. Na szczęście dla nas napisał Kraszewski tyle prawdziwie poetycznych powieści, iż

nie mamy kłopotu z wynalezieniem pociechy naszemu żalowi dzisiejszemu, o nowe ilustrowane wydanie wszystkich jego pism u Sennewalda w Warszawie nastęrcza tem łatwiejszą temu sposobność.

*Starosta Hołobucki*, powieść z czasów Stanisława Augusta, podług opowiadania JMPana Nieczui spisana przez Zygmunta Kaczkowskiego — zuana dotąd jedynie z odcisku *Gazety Codziennej. Stach z Kępy*. Powieść z życia wiejskiego ludu przez Zygmunta Kaczkowskiego. Warszawa 1856. Jakby dla tem jawniejszego okazania wielostronności talentu swego daje tu autor dwie powieści wcale różnego charakteru a jednakowej piękności. Nie możemy zapuszczać się w szczegółowy rozbiór obudwóch, gdyż nie chodzi nam o żaden pojedynczy utwór z osobua, lecz o stosunek prac celniejszych do ogółu literatury bieżącej. Owoż pod tym względem zaliczylibyśmy obie wymienione powieści do najlepszych książek dzisiejszych, a oraz do celniejszych płodów autora. Pióro p. Kaczkowskiego uzyskało w nich jeszcze większą pewność, artystyczność, nadobność. Jakaś osobliwsza harmonia przebija w jego stylu; zbyt gorąca niegdyś atmosfera powieści stała się teraz lekszą i przezroczystszą, rysunek charakterów stał się jeszcze bardziej dokładnym i poprawnym. W *Staroście Hołobuckim*, jakkolwiek zajmująco napisanym, maluje autor postacie znanego kroju i często już przedstawiane: w *Stachu z Kępy* otrzymujemy na wszelki wypadek przedmiot nowszy a temsamem trudniejszy. W każdym razie — najwłaściwszą miarą ocenienia płodu nowego sądziemy porównanie z innymi, dawniejszemi utworami tegosamego rodzaju. Czy pewna nowa książka dogodziła albo nie dogodziła osobistym wyobrażeniom i żądaniom krytyka, zdaje się nam rzeczą podrzędną: — główną kwestyą mniemamy to, czy autor w czemkolwiek postąpił dalej od swoich poprzedników, czy przydał jakkolwiek rys udoskonalenia zawodowi swojemu? Z tego zaś stanowiska okazują się ostatnie powieści Kaczkowskiego rzeczywistym postępem w sztuce. Nie wzbraniamy nikomu żądać jeszcze więcej prawdy obrazu, jeszcze mniej konwencyonalności w kreśleniu charakterów ludowych, lecz gdyby przyszło wymienić u nas lepsze, a nawet równe utwory tego rodzaju, nie łatwoby je było przytoczyć. Spodziewamy się ich chyba po samym p. Kaczkowskim, którego nie chcielibyśmy bynajmniej widzieć już tak skończonym w sobie, jak się to podobało niektórym jego mnie-

manym wielbicielom, w rzeczy najszkodliwszym nieprzyjaciołom. Mieniać bowiem dzisiejsze prace Kaczkowskiego najwyższym kwiatem sztuki, rzucili oni niezręcznie zastonę na to, co każdemu młodemu pisarzowi bywa najdroższym skarbem, najwarowniejszą tarczą, t. j. na jego przyszłość. Tymczasem talent p. Kaczkowskiego zdaje się nam tak potężnym, tak rzadką obdarzonym energią, że to czego się po nim jeszcze spodziewać mamy, powinnioby nieskończenie przewyższyć te znamienite utwory, któreśmy już otrzymali od niego. Wtedy pozbędzie się on zapewne tej surowej manieri zapatrywania się na świat i życie, która zawsze i wszędzie widzi w ludziach tylko chłopów i panów, tylko szlachtę i lud, a tak rzadko człowieka. Cokolwiek mniej prawdy miejscowej i chwilowej a nieco więcej prawdy ogólnej — bywa nieraz zaletą w sztuce. Smutną byłoby rzeczą, gdyby pojęcia o człowieczeństwie, kursujące w naszej pięknej literaturze, były prowincjonalizmem w ogólnej dziedzinie piękna.

*Maszkarada w obłokach czyli podróż nadpowietrzna nad morze północne*. Przez dra. T. Triplina. Wilno 1856, 2 tomy. *Amazonka*, szkic z życia światowego w zamkach Francji. Przez T. Triplina. Warszawa 1856. O p. Triplinie mówiliśmy obszerniej w półroczu przeszłym, a jego prace dzisiejsze nie odstępują niczem od dawnych. Napisanie książki zdaje się dzisiaj jedynym celem autora. Wszystko co temu odpowiada, ma tęsamą wartość w oczach rzemiosła. A z czegożto dzisiaj nie można napisać książki. W obecnym razie wystarcza do tego teoria żeglugi napowietrznej, wyłożona w dwutomowej *Maszkaradzie w obłokach*, i pierwszy lepszy romans francuzki, spolszczony w *Amazonce*. Po chwilowem wyczerpaniu się materiału i chętki do powieści powstało dzieło pod obszernym tytułem: *Kalotechnika* czyli sztuka zachowania piękności, zawierająca *Hygienę* zębów dra. Desirabode, *Hygienę* rąk i nóg pani Lachapelle dra. medycyny, *Hygienę* piersi i kibici Adama Raciborskiego dra. medycyny, *Hygienę* włosów dra. Juliusza Massé. Zebrana i ułożona przez autora *Wspomnień z podróży po Danii, Norwegii, Anglii i t. d.* Jednocześnie donoszą pisma warszawskie, iż p. Triplin pracuje nad obszerną *Historyą Szwecyi*, z szczególnem uwzględnieniem związku między dziejami szwedzkiemi a polskimi. *Pamiętnik z życia Ewy Felińskiej*. Wilno 1856, 3 tomy. Po pismach p. Triplina nie masz pociechy nad obecne *Pamiętniki*

pani Felińskiej. Autor *Wspomnień z podróży po Danii, Norwegii, Szwecyi i t. d.* — i autorka *Wspomnień z podróży do Syberyi* — rozpoczęli zawód pisarski od skreślenia swoich wędrówek po dwóch przeciwnych stronach półkuli ziemskiej, ale jakże różnemi piśmami odznacza się dzisiejsza pora ich kariery autorskiej. Pan Tripplin kreśli najdziksze awantury, i nudzi coraz powszechniej dziwactwami swojemi — pani Felińska opowiada najprościejsze zdarzenia, opowiada bez sztuki i pretensyi, a praca jej sprawia coraz przyjemniejsze wrażenie. Znany już trzy tomy jej *Pamiętników*; w tych trzech tomach doprowadziła autorka historję życia swojego dopiero do oświadczenia się p. Felińskiego o jej rękę panięńską; historia ta nie różni się w niczem od zwyczajnego życia ubogich córek szlacheckich, wychowujących się w domu krewnych — a przecież moglibyśmy wymienić czytelników i czytelniczki najrozmaitszego wieku i usposobienia umysłu, których w równym stopniu zabawiły i zbudowały te *Pamiętniki*. Obok niewinnej bowiem rozrywki nastęrczają one wiele nieobojętnych rysów do obrazu epoki, i niejednen ciekawy sekrecik obyczajowy, którego szukalibyśmy napróżno w pamiętnikach poważnej treści, a którym możemy sobie wyjaśnić niejedną okoliczność dziejową, odśłania się nam dopiero z tych naiwnych opowiadań panienki tamtoczesnej.

*Pani Podkomorzyna.* Powieść L. Wilkońskiej. Poznań 1856. *Skarbiec.* Powieść przez J. Dzierzkowskiego. (C. d. n.)

Złote runo. Pod tym tytułem zaczyna w Petersburgu z d. 13 stycznia wychodzić w rosyjskim języku nowe czasopismo, poświęcone jedynie syberyjskim kopalniom złota. „Rozległość i bogactwa Syberyi znane są całemu światu“ — czytamy w programie. — „Wszakże mało kto ma dokładne o tym kraju wyobrażenie. Nie dziwić się cudzoziemcom, iż ludzeni pozorami, wyobrażają sobie Syberję jako krainę dziką i pustą, nieprzystępną zupełnie działalności cywilizowanego człowieka; lecz cóż powiedzieć o licznym tłumie samych rodaków naszych, którzy widzą w niej albo jakąś zabłątą krainę czarodziejską, przepelnioną skarbnami nieprzebranemi, albo przeciwnie jakąś dziką i bezludną pustynię, z któraby nie chcieli mieć żadnej handlowej ani przemysłowej styczności. „Syberja ma złoty grunt“ — opiewa słusznie przysłowie. O jej bogatych pokładach złota i srebra, o jej kamieniach drogocennych i innych płodach, pisano już nicmało we wszystkich językach europejskich; niejednen też uczony i podróżnik badał z pomyślnym skutkiem tajemnie jej

górn niebotycznych i dolin nieprzejranych, a przecież ileżto jeszcze wątpliwości pozostało bez wyjaśnienia, ile ciekawych i osobliwych przymiotów oczekuje dotąd gęntownego zbadania i opisania. Aby tedy obeznać czytelników naszych z wszystkiemi osobliwościami Syberyi, tudzież zwrócić ich uwagę na stopniowy rozwój moralnego i przemysłowego życia w tym kraju — kończy program, — „postanowiliśmy wydawać czasopismo tygodniowe, którego tytuł wzięty jest po cześci od kruszcowego bogactwa kraju, po cześci zaś od jego sławnego handlu drogiemi futrami krajowemi.“

Trzystoletnia sprawa. W roku 1829 agitowała się w królestwie Polskiem, przed cywilnym trybunałem byłego województwa Podlaskiego, szerególniejsza sprawa sądowna, zdumiewająca swoją dawnością i zapewne podziśdzien nie ukończona. Wynikła ona z niepewności granic między wsiami szlacheckimi Lipki i Maliszewo, położonemi w ziemi drobiekiej. Strona zwycięzka zyska za trzywiekowe trudy pieniaćkie 50 włok lasu, przegrywająca nie będzie w stanie zdobyć się ani na połowę kosztów, które pociągnął za sobą proces od r. 1494. Sprawa ta szła sukcesyjnie z pokoleniami, z zmianami królów i rządów, i przetrwała 19 monarchów w tej części Polski, mianowicie czterech królów w familii jagiellońskiej, 11 królów elekcyjnych, 3 konstytucyjnych. Dawniejsza jest o 84 lat niż dawne trybunały w Piotrkowie i Lublinie, toczyła się w różnych epokach rządów i sądownictwa, a przeżyła rzeczpospolite Polska we wszystkich okresach jej wzrostu i upadku. Pierwsza stoletnią rocznicę swoją zaczęła ona z wzrostem oświaty i pomyślności państwa, a skończyła w upadkiem nauk; drugą rozpoczęła z dynastją Wazów, a skończyła na śmierci walecznego Jana III., w trzecią wstąpiła z dynastją Sasów, a zakończyła ją z epoką Stanisława Augusta. Tak wiece liczyła ona w r. 1828 lat 335 a w tym czasie ileż w ogólności zmian najrozmaitszego rodzaju przeżyła w kraju i zagranicą. Przedłożone sądowni dowody piśmienne sięgają lat 1474, 1517, 1585, 1616. Pierwszy wyrok zapadł w r. 1824, ostateczne załatwienie sprawy doczeka się zapewne jeszcze późniejszych czasów.

Filozofia żołądka. Sekta *wegetaryuszów*, t. j. ludzi żyjących jedynie roślinami, tworzy w Anglii osobne towarzystwo i ma swój własny dziennik. Teraz zaś wystąpił jakiś Mr. *Monerjeff* z rozprawą „Filozofia żołądka“, w której uderzając wszelkimi siłami na pożywienie roślinne, poleca mięso jako jedyny pokarm, właściwy człowiekowi. Osobliwsza rzecz, iż tak trudno człowiekowi utrzymać się na drodze pośredniej, lubo już dwa tysiące lat temu, jak mądry Stagiryta nazwał ją najstosowniejszą dla wszelkich usiłowań ludzkich.

Starodawna faceeya. „Wiedli prawo czas niemały dwaj szlachty. Jeden, który sprawiedliwsza miał, aby mógł mieć przedśa odprawę, darował sędziemu wielki rydwan. Adwersarz jego, obaczywszy to, darował sędziemu parę koni dobrych. Rozpieraając się prawem, wskazał sędzia za onym, co mu konie darował. On co mu rydwan dał, rzecze: Panie sędzia! zleście mój rydwan nakierowali. Odpowie sędzia: Nie dziwuj się, konie go nakierowały. Jako konie ciągnęły tak rydwan musiał iść. Pospolita przypowieść: Kto lepiej nasmaruje, temu nie skrzypi.“